NR. 11 NIEDZIELA, 8 CZERWCA 1930 R. ROK IV

PRZYJACIEL DZIECI

DODATEK DO ROBOTNIKA

Pod Redakcją Robotniczego Tow. Przyjaciół Dzieci



MASZERUJĄ DROGĄ CZERWONI HA RCERZE.

Piosenka wycieczkowa

Maszerują drogą
Czerwoni Harcerze.
Maszerować z nimi
chęć mnie wielka bierze.

Stanę do szeregu
I pójdziemy wraz
z dusznych murów miasta
na pola i w las!

Maszerują drogą
Czerwoni Harcerze.
Zostać harcerzykiem
radbym z serca szczerze

Stanę do szeregu.
Czyżem to nie chwat?
I będziemy wspólnie
nowy tworzyć ład!

—g—



PODARUNEK WICIA

Mamusi Wicia na imię jest Julja, więc 22-go maja przypadają jej imieniny.

W przeszłym roku Wicio ofiarował mamie parę rękawiczek, które kupili razem z tatusiem, ale w tym roku wcale w domu nie mówiło się o imieninach, gdyż tatuś tylko trzy dni pracuje w fabryce, więc o żadnych prezentach myśleć nie można. A przecież Wicio doskonale pamiętał o imieninach mamy, tylko nie śmiał prosić tatusia o kupienie jakiegoś drobiazgu, gdyż zgóry wiedział, że tatuś będzie musiał mu odmówić i to zrobi mu napewno ogromną przykrość.

Myślał więc chłopczyna o tem w jaki sposób bez pomocy tatusia możnaby było ofiarować coś mamie.

Poszedł do kącika, gdzie miał różne swoje rupiecie, przeszukał w szufladzie, lecz nie znalazł nic, co mogłoby nadawać się na upominek imieninowy.

Co robić? Skąd wziąć potrzebne na prezent grosze, a czyż można je zarobić, gdy się ma zaledwie sześć lat?

Nagle oczy chłopca rozbłysły weselem: pomiędzy resztkami drewnianych klocków i kartkami podartej książki znalazł kawał czarnej materji, wyszywanej różnokolorowymi paciorkami. Gałganek ten dała kiedyś Wiciowi jego ciocia krawcowa.

Nazajutrz jak zwykle, Wicio udał się do przedszkola. Po przywitaniu się z panią poprosili ją o pożyczenie nożyczek i o pozwolenie sprucia paciorków.

— A co chcesz zrobić z tego? — zapytała łagodnie pani. Chłopiec zaczerwienił się i szeptał:

— Jutro imieniny mojej mamy, a że nie mogę nic jej kupić i tatuś też nie ma pieniędzy, więc chciałbym zrobić jej te paciorki.... Przecież panie noszą korale na szyjach, prawda? — dodał niepewnym głosem.

— Ależ naturalnie, moje dziecko, jestem pewna, że podarunek twój sprawi mamusi wielką przyjemność — zapewniła chłopca pani.

Zabrał się więc Wituś do odpruwania koralików, a gdy wszystkie miał w piórniku, podeszła pani, dała igłę z grubą, mocną nitką, dosypała garstkę dużych, czerwonych rzniętych paciorków i pokazała jak nawlekać należy by pomiędzy każdym dużym koralikiem znajdowała się jednakowa ilość mniejszych.

Pracował więc Wicio z wielkim zapałem i ani się spostrzegł, gdy naszyjnik był gotowy.

Pani zakończyła nitki i dała kawałek różowej bibułki do owinięcia podarunku.

Wrócił Wicio do domu i brała go straszna chętka, by pochwalić się swoją robotą. Powstrzymał się jednak i jakoś dotrwał do wieczora.

Mamusia już szykowała śniadanie, gdy Wicio się obudził. Wyskoczył z łóżka, umył się, ubrał szybko, potem podszedł do mamy i, obejmując ją za szyję, mówił:

— Życzę, by mamusia była zdrowa, miała dużo pieniędzy i... niech mamusia ma te korale...

Ze słowami temi wręczył pakiecik, zawinięty w różową bibułkę.

Mama rozczuliła się strasznie, ściskała synka i pytała:

— Więc to twój pomysł i twoja robota?

— Tak, tak — szeptał rozpromieniony Wicio.

Mamusia zaraz ubrała się w ofiarowany naszyjnik i nosiła go przez dzień cały.

Dopiero wieczorem przed udaniem się na spoczynek, mama zdjęła paciorki, owinęła je w bibułkę, złożyła do pudełeczka od lekarstwa i, zamykając w szufladzie, rzekła do tatusia:

— Muszę zachować te najdroższe perły mego syna.

A Wiciowi tak mocno, mocno biło serduszko... Chciało mu się i śmiać i płakać; chciało się wybiec z łóżka, rzucić się na szyję mamie, całować jej drogie, spracowane dłonie i wykrzyczeć całą, wielką miłość swego dziecięcego serca.

Lecz jakiś nieokreślony wstyd tamował jego ruchy i krępował wolę; więc wtulił mocniej główkę w poduszkę i zaczął, szepcąc dziecięcemi wargami:

— Moja najdroższa, kochana mamusia...



Po konwalje do lasu

Lekcja przyrody ma się za chwilę zacząć. Już dzieci siedzą w ławkach, zaraz przyjdzie nauczycielka. Romek,—ten z pod okna — ma jakąś figlarną minę, uśmiecha się dziwnie. Coś wie, ale nie chce powiedzieć. Wchodzi pani od przyrody, patrzy na Romka i też się uśmiecha.

Pewnie oboje coś wiedzą.

Romek jest porządkowym,—powinien wszystko do lekcji przyrody przygotować, ale tego nie zrobił; miał się przecież postarać o konwalję.

Romek podchodzi do tablicy i pisze na niej wielkiemi literami:

„Dzisiejsza lekcja odbędzie się w lesie".

Czy to prawda?

Prawda, — wczoraj zaczął się *„Tydzień Dziecka"*. Każdy dzień tego tygodnia ma wam przynieść coś dobrego. Dzisiaj stary las zaprasza was do siebie. Śpieszmy się, nie traćmy czasu, do kolejki niedaleko.

Już jedziemy, — mijamy małe stacyjki, zatrzymujemy się w Pyrach. Droga do lasu prowadzi przez pole. Staramy się nie deptać oziminy, idziemy miedzą, długim szeregiem, za chwilę będziemy w lesie.

Jak tu miło, jak przyjemnie. Wita nas szum lasu i świergot ptaków. Janek mówi, że słyszy słowika. To nie słowik, to wilga odzywa się w zaroślach.

Wchodzimy wgłąb lasu,—miło tu i zacisznie, wilgotny mech pod stopami. Otóż konwalje. Jak ich dużo; lubią one miejsca



wilgotne; musimy się z niemi zapoznać bliżej, zobaczyć jak żyją, rosną, jak wędrują po lesie. Bo to ród wędrowników, — zaraz się o tem przekonamy, przyjrzawszy im się zbliska. Mamy tu liście i kwiaty; rozgarniamy mech i ziemię, znajdujemy łodygę

podziemną, korzenie i pęd zagięty, dążący ku górze, do słońca, do światła. A ileż tam tych pędów: starsze, młodsze, najmłodsze. To pąki podziemne. Ciepło wiosenne powołuje je do życia, rosną szybko, skoro wyjrzą na światło, rozwijają się w liście i kwiaty, cieszą nas widokiem i wonią, na jesieni usychają i giną, ale części podziemne trwają dalej, zimują, z wiosną dają nowe pędy, nowe kwiaty i nasiona.

I tak dalej i dalej; z biegiem czasu wędrują sobie roślinki w kierunku najbardziej dla siebie odpowiednim, a więc ku ziemi wilgotnej i żyznej. Wieloletnią jest zatem konwalja, starsze części łodygi podziemnej, t. zw. *kłącze*, gniją z czasem i użyźniają ziemię; młode żyją, idą dalej, pracują, gromadzą pożywienie i zasób sił dla przyszłego pokolenia, któremu przekażą swe młode i nieśmiertelne życie.

W. Pożaryska

DOBRA RADA

(obrazek sceniczny w jednej odsłonie)

Osoby:

JULCIA.
DUSZEK.
ŚCIERECZKA.
MIOTEŁKA.
IGIEŁKA.
WĘGIELEK.

Scena przedstawia zwykłe mieszkanie robotnicze.

JULCIA.

Jeszcze jestem mała,
ale jużbym chciała
pomóc mamie w ciężkiej pracy,
tylko nie wiem, jak?
Bo tak:
Żebym miała srebro, złoto,
kupiłabym pałac oto,
byłyby pokoje duże...
pod oknami same róże...
niechby mama tam mieszkała.
Albo nie!
nie tak bym chciała.
...kupiłabym mamie stroje...
(Słychać stukanie, szmery).

JULCIA przestraszona:

Oj! coś stuka!
Ja się boję!
(Zjawia się Duszek w czerwonym ubranku, w czerwonej czapeczce, ze złotemi skrzydełkami w kształcie serduszka).

JULCIA zdziwiona:

Co to? Kto to?

DUSZEK przyjaźnie:

Jestem duszek.
Dobry duszek.
Nadstaw tylko, Julciu, uszek,
a zaraz ci rad dam zadość,
jak masz mamie sprawić zadość:
I bez srebra, i bez złota.
Całkiem łatwa to robota.
(klaszcze w ręce).
Hej, Ściereczko, Hej, Miotełko!
I Węgielku! I Igiełko!
Chodźcie tutaj! Chodźcie żywo!
(Wbiegają: ciereczka, Miotełka, Igiełka i Węgielek).

JULCIA:

A to znowu co za dziwo?

ŚCIERECZKA dygając:

Nie poznajesz mnie, Juleczka?
To ja jestem. Ja, Ściereczka.
Pilnej gosposi radą co dzień służę
i ścieram kurze.
Mieszkanie wtedy niby szklanka lśni!

JULCIA *(do Miotełki):*

A ty?

MIOTEŁKA:

My się także znamy.
— Czyszczę różne plamy.
trzast-prast! trzast-prast !
i gotowe —
ze starych ubranek — nowe.

IGIEŁKA:

Ja jestem igiełka z pozłocistem uszkiem.

Zapoznaj się ze mną, jeśliś nie leniuszkiem.
Nauczę cię szyć, cerować,
i wyszywać, i haftować!

JULCIA:

A kto jest ten czarny,
podobny do murzynka?

WĘGIELEK:

Ja jestem Węgielek
z pod twego kominka.
Nauczę cię gotować rzeczy smaczne
i zdrowe.
(wylicza na paluszkach:)
Rosół kompot, kotlety,
konfiturki wiśniowe...

DUSZEK:

A co, Julciu,
czy nic ci nie szepce w serduszku?

JULCIA:

Już wiem. Zrozumiałam
Dziękuję ci, Duszku!
Ty Ściereczko, ty Miotełko,
i Węgielku, i Igiełko,
nauczcie mnie, a żywo,
jak pomagać w domu mamie,
by była szczęśliwa.

Ściereczka, Miotełka, Węgielek, Igiełka razem:

A więc dalej, do roboty!
Raz, dwa, trzy!
Rób, Juleczko, wszystko,
co robimy my!

JULECZKA:

A więc dalej, do roboty!
a więc dalej wraz.
Będzie moja mama
bardzo rada z nas!

—g—

JACK LONDON

Zapewne większość naszych czytelników słyszała nazwisko Jacka Londona, pisarza amerykańskiego, znanego w całym świecie, który z niezrównanym talentem opisywał ciężkie życie osadników, myśliwców, poszukiwaczy złota i marynarzy, oraz zwierząt, dzielących los swych właścicieli.

By móc tak doskonale opisać ten straszny świat wysiłków i walki, nie starczyłaby fantazja i talent pisarski, to też Jack London sam przeżywał te momenty wraz z grupą tych niepokonanych, często pierwotnych ludzi.

Życie jego pełne było przeróżnych przygód, które napewno zainteresują was bardzo, a jednocześnie przekonają, że wytrwałą pracą wiele zdziałać można.

Jack London urodził się w Kaliforni w 1876 roku. Ojciec jego posiadał małą fermę, t. j. zagrodę, i sam uprawiał swą rolę. Gospodarstwo tak mało przynosiło zysku, że mały Jack już w piątym roku życia, by zaoszczędzić opłaty najemnika, musiał pracować jako pastuch.

Naturalnie nikt nie myślał o tem, by nauczyć go czytać i pisać, lecz Jack sam zaczął rozróżniać litery, a potem łączyć je w wyrazy i zdania.

W miarę jak nabierał wprawy w czytaniu, zaczęło się w nim rozwijać gorące pragnienie nauki i w celu poznania różnych nowych rzeczy, o których myślał bez przestanku, prosił gorąco rodziców o pozwolenie uczęszczania do szkółki, dość odległej od jego domu.

Rodzice, po długich wachaniach, zgodzili się na jego prośbę, lecz pozwolili mu chodzić na naukę jedynie tylko podczas zimy, gdy na fermie nie było dużo roboty.

Godzinami więc ośmioletni chłopczyna szedł przez las, pokryty grubą warstwą śniegu, szedł, zapadając nieraz po szyję, czujny na każdy szmer, na każdy ruch, gdyż zewsząd czatowała nań zguba w postaci żerujących dzikich zwierząt.

Niestety, Jack nie nauczył się wiele w szkole, do której rwał się z takim zapałem. W jednej ze swych książek opisał obrazowo tę wiejską szkółkę, mieszczącą się w zimnej stodole, gdzie zebrani uczniowie spędzali czas na wrzaskach, popychaniu się, a nawet bójkach, gdyż wiecznie pijany nauczyciel nie umiał utrzymać najmniejszego porządku, zaś w rzadkie chwile względnej przytomności, nie szczędził razów i boleśnie bił swych uczniów.

Tymczasem interesy rodziców Jacka były w tak opłakanym stanie, że pragnąc ocalić resztki mienia, postanowiono sprzedać fermę i przenieść się do miasta.

Jack miał lat jedenaście, gdy rodzice jego osiedlili się w mieście Oakland, na brzegu Oceanu Spokojnego.

Chłopiec musiał zarabiać, a nie będąc przygotowany do żadnej pracy, został sprzedawcą gazet.

Biegał więc po całem mieście; najwięcej jednak odbiorców miał wśród marynarzy.

Gdy udało mu się dość prędko rozsprzedać cały zapas dzienników, biegł do publicznej, bezpłatnej czytelni i tam zapamiętale czytał; wieczorami zaś chodził na kursa dokształcające.

Zapracowani i przejęci troską o zdobycie codziennego kawałka chleba, rodzice mało czasu mogli poświęcić na wychowanie syna, który musiał mieć uczciwą i szlachetną duszę, skoro pozostawiony sam sobie, nie poddał się złym wpływom i nigdy nie zboczył z prawej drogi.

Poza niesłabnącą chęcią zdobywania nauki, w duszy chłopca rosło potężne pragnienie ruchu, zmiany otoczenia, nowych wrażeń i przygód.

Upodobanie to wyzyskał pewien awanturnik imieniem Jim O'Bedoë, który, obiecując złote góry Jackowi, namówił go do opuszczenia rodzicielskiego domu i udania się z nim w podróż.

Jack był pewien, że odpływa na okręcie jako chłopiec okrętowy, wkrótce jednak przekonał się, że jego nowy przyjaciel nie był marynarzem, lecz zwykłym złodziejem ostryg, co wreszcie przynosiło mu dość duże zyski.

Pomimo wielokrotnych usiłowań, nie udało się Jackowi wyrwać z pod czujnej opieki Jima i dopiero po upływie sześciu miesięcy, okrzystając z silnej burzy, zdołał zbiec i dostał się na statek przybrzeżnej straży, mający za cel przeszkadzanie w przemycaniu transportów ryb.

W tym to czasie Jack poznał dokładnie życie i rzemiosło marynarzy, które posłużyły mu za temat do wielu jego najlepszych nowel.

Gdy skończyła się umowa, wiążąca Jacka z morskimi celnikami, nie chciał on dłużej pracować z nimi, lecz udał się z grupą myśliwych na polowanie na foki. Pewien czas spędził na dalekiej północy w okolicy cieśniny Beringa, i poznał życie stref podbiegunowych, które potem Jack wspaniale opisał.

Nieopanowana tęsknota za rodziną zmusiła jednak Jacka do powrotu do Stanów Zjednoczonych. Zdawało mu się, że ciężkie przeżyte chwile na czas dłuższy zniechęcą go do szukania nowych przygód i przywiążą do miejsca. Niedługo jednak trwało to złudzenie — potrzeba ciągłego ruchu i walki, pociąg do morza i przestrzeni znów wzięły górę i Jack, jako prosty robotnik przy ładowaniu węgla, ruszył w nieznane światy. Podczas bójki z towarzyszami został ranny i stracił zajęcie. Po kilku tygodniach tułania się bez pracy, zmuszony głodem, wstąpił do przędzalni, gdzie od szóstej rano do siódmej wieczór pracował w pocie czoła.

W tym to właśnie najcięższym momencie nędzy i przeciwności, które złamałyby przeciętnego człowieka, dojrzał ostatecznie talent Jacka. Spracowany, wyczerpany, często głodny, czytał z zapałem wszystko, co wpadło mu w rękę i w tajemnicy przed otoczeniem próbował stawiać pierwsze kroki na drodze swej późniejszej karjery literackiej.

Pewnego dnia matka, z którą Jack mieszkał po śmierci ojca, przeczytała przypadkiem w jednym z dzienników w San-Francisko o ogłoszonym konkursie na utwór literacki pod tytułem: *„Huragan na brzegach japońskich"*.

Wiedząc, że syn coś pisze, zaczęła nalegać, by przyjął udział w konkursie. Po wielu wahaniach młody człowiek, liczący wtedy lat 19, zabrał się do pracy. Opowiadanie nie mogło przekraczać dwóch tysięcy wyrazów. Pierwszej nocy powstała nowela, która jednak nie zadowolniła swego twórcę, dopiero po dwukrotnych przeróbkach Jack zdecydował się utwór przesłać na sąd konkursowy.

Minęło kilka tygodni; Jack zapomniał już prawie o swej pracy, gdy nagle otrzymał zawiadomienie, że przyznano jej pierwszą nagrodę.

Otucha wstąpiła w serce młodego pisarza—wierzył, że nareszcie odnalał właściwą drogę i pełen najlepszych nadziei, przesłał do tego samego dziennika drugi artykuł.

Tym razem praca jego, widocznie niedostatecznie opracowana, została odrzucona.

Zawód ten boleśnie dotknął Jacka; pewnej nocy opuścił on dom matki i z wor-

kiem na plecach i kijem w ręce przeszedł pieszo całą Amerykę aż do miasta Bostonu. Zmuszony pracować, by żyć, a nie mając żadnego wyboru, Jack zarabiał na swe utrzymanie prasowaniem koszul w dużej pralni. Zajęcie to męczyło go niezmiernie, jednak w dalszym ciągu uczył się i pisał. W tym czasie, t. j. około 1897 roku, całą prawie Amerykę ogarnęła gorączka złota. Z całego świata zjeżdżali się poszukiwacze przygód, gnani pragnieniem wyrwania ziemi jej niezliczonych skarbów.

Jack przyłączył się do jednej z pierwszych grup i udał się do Klondyke.

Znalazł niewiele złota, lecz podczas tej strasznej drogi po fortunę poznał swą późniejszą żonę, która do końca jego życia była mu najwierniejszą towarzyszką i powiernicą.

Wyprawa ta rozwinęła również bogactwo talentu Jacka Londona i uczyniła go w krótkim czasie najpoczyteniejszym pisarzem Ameryki.

Zdawaćby się mogło, że zdobywszy sławę i majątek, Jack zechce wreszcie korzystać z tak bardzo zasłużonego spokoju i odpoczynku.

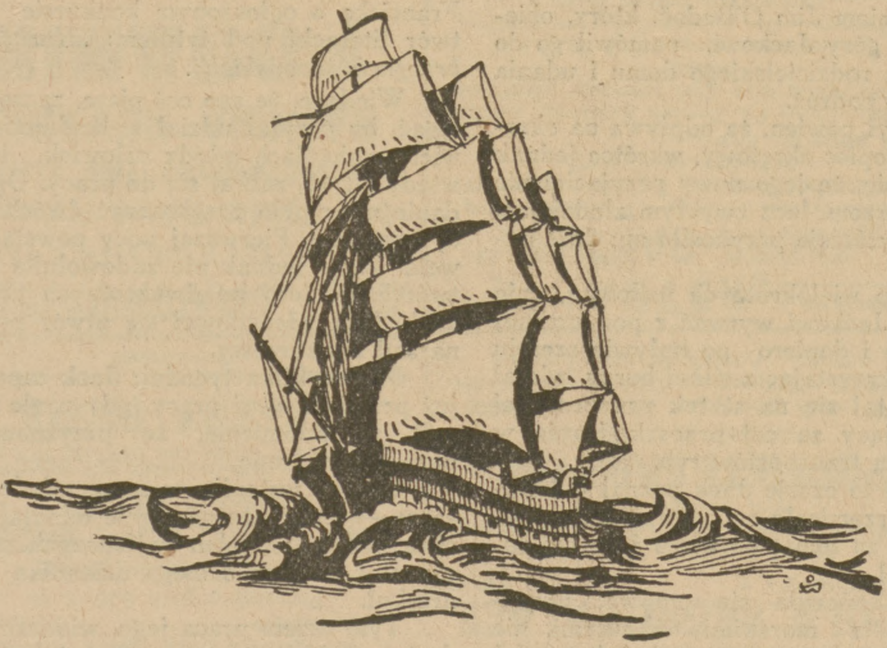
Nie umiał on, niestety, zatrzymywać się długo na jednem miejscu i, jak sam mówił: *„ciągle czekał na wezwanie do drogi"*. W towarzystwie żony i dwóch marynarzy na tratwie, przez siebie zbudowanej, przejechał całą Oceanję i na jednej z jej licznych wysp omal że nie został pożarty przez ludożerców.

Po każdej dłuższej podróży na czas jakiś powracał do swej ojczyzny, gdzie każda jego nowa książka rozchwytywana była przez czytelników i przynosiła mu olbrzymie honorarja.

Podczas wojny rosyjsko - japońskiej Jack London w poszukiwaniu ciągłych wrażeń udał się, jako korespondent, na pole bitwy i został jeńcem japońskim, skąd udało mu się, po pewnym czasie, zbiec i wrócić do San Francisko.

Wiecznie zajęty, ciągle w podróży, nie szczędzący sił własnych, by zadowolnić nienasycone pragnienie zmiany, zgasł w czterdziestym roku życia, pozostawiwszy w tece swej drogocenne arcydzieła, które stopniowo wydają amerykańscy wydawcy.

Prawdziwe to opowiadanie o życiu tego wielkiego pisarza jest przekonywującym dowodem, że rzeczywisty talent, jeżeli towarzyszy mu wytrwałość i praca, wcześniej czy później, musi się wybić i zająć należne mu stanowisko.



**Adres redakcji i administracji: Robotnicze Tow. Przyjaciół Dzieci Warszawa, ul. Czerwonego Krzyża 20 Tel. 274-55.
Redaktorka przyjmuje w poniedziałki i czwartki 5 — 7.**